

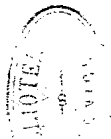
CZYSTY DOCHÓD PRZEZNACZONY NA BEZDOMNYCH  
W KRÓLESTWIE.

---

---

# PAMIĘTNIKI WITOLDA HR. A.

*Alexander Witold*



POZNAŃ.  
CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.  
1917.

CZYSTY DOCHÓD PRZEZNACZONY NA BEZDOMNYCH  
W KRÓLESTWIE.

---

---

# PAMIĘTNIKI WITOLDA HR. A.



POZNAŃ.  
CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.  
1917

Mając wiele czasu i idąc za radą przyjaciół, piszę me pamiętniki, które zaczynam od powstania w roku 1863.

Było w styczniu 1863 roku. Siedziałem z mym bratem w pokoju, gdzie brałismsy lekcye i powtarałem gramatykę łacińską z nauczycielem Berendtem, gdy wpadł nagle do pokoju ojciec i wykrzyknął: „Chłopcy, pakujcie książki, jedziemy do Warszawy!” Naturalnie ogromnie się uradowaliśmy, ale co nas zadziwiło, że przechodząc przez pokój ojca, widzieliśmy wyladowaną z szaf wszystką broń i że ojciec łął kule, ale to nas nie przestraszyło. Koło południa skończono z pakowaniem, i ruszyliśmy w drogę dwoma powozami. W pierwszym powozie zamkniętym siedziała guwernantka, dwie moje siostry, dwie służące i ja, na koźle obok woźnicy lokaj, uzbrojony w strzelbę. Za tym powozem jechał kocz otwarty, w którym siedzieli ojciec, guwerner, nauczyciel muzyki i mój brat starszy. I tak wyruszyliśmy ku Warszawie, odległej o przeszło 20 mil. Bez żadnego przypadku zajęchaliśmy do Międzyrzecza, gdzie miano wzięść pocztę. Dziwiło nas, że ojciec konferował z pocztmistrzem i że konie to odprzęgano, to zaprzęgano. Dowiedział się ojciec, że powstanie miało wybuchnąć w nocy w Międzyrzeczu i w Siedlcach, gubernialnem mieście, przez które mieliśmy prze-



24994

jeźdźcą. Było więc niebezpieczeństwo już to zostając w Międzyrzeczu, już też wyjeżdżając do Siedlec, gdzie moglibyśmy zajeżdżać w czasie walki. Ojciec zdecydował się na pozostanie w Międzyrzeczu. Dziwił się, że nam zabroniono się rozbiierać i że kazano spać na kanapie, ojciec zaś i nauczyciele uzbrojeni usiedli przy oknach i drzwiach. Czekało wybuchu powstania o północy, ale liczba powstańców tak była nieznaczna, że do powstania nie przyszło, mała grupa ochotników podażyła do Siedlec, by tam się przyłączyć do większego oddziału. W Siedlcach powstanie wybuchło, ale naturalnie nasi zostali pobici. Przyjechalibyśmy właśnie po końcu walki, i przejeżdżaliśmy przez pole, na którym widzieć można było trupy i ramy. W mieście samem kozacy otoczyli nasz powóz, czyniąc nam wielki strach. Pamiętam, że ojciec zapłakał mówiąc: „Powstanie to wina czerwonych i to strata Polski”. Gdy konie przeprzeżono, potechaliśmy dalej w drogę ku Warszawie. Po drodze spotykaliśmy masę konnych poczytliwów, wiozących depesze do rozmaitych miejscowości. Niedaleko Mińska Mazowieckiego zdarzył się następujący fakt. Przejeżdżaliśmy przez las, kiedy nagle jeden człowiek zaczął za nami biec, krzycząc: „stójcie, stójcie”, widocznie chciał zatrzymać powóz, by nas móżd napasać z całą bandą złodziei lub zbójców. Naturalnie ojciec kazał dalej jechać; wtedy ów człowiek rzucił się na kufrzy przywiązane za powozem. Ojciec jadąc z tyłu, mógłby był strzelić do niego, ale niebezpieczeństwo było, żeby kula mogła wejść do powozu, w którym siedzieliśmy, ale woźnica tak silnie smagał biczem złodzieja, że tenże z kufrów zeskoczyć musiał.

Dalszy ciąg podróży odbył się bez żadnych zdarzeń, tylko że nam na jednej stacyi pocztowej od powozu odprężnięto dwa konie i ukradziono. Była właśnie północ, kiedyśmy wjechali do Warszawy. W Warszawie mimo, że powstanie wrzało na wsi, było spokojnie, ale był ogłoszony stan oblężenia. Na miastyniem był podówczas Wielki książę Konstanty, którego jednak niebawem powołano do Petersburga a następcą mianowano hr. Berga, pochodzenia niemieckiego, który długo w Warszawie pozostał. Główny wypadek, które się zdarzyły w Warszawie podczas tej epoki były: Zamach na hr. Berga, powtórne podpalenie ratusza. Zamach ten miał miejsce na ulicy Nowy Świat. Z jednego okna ogromnego pałacu Zamoyskich rzucono bombę, której odłamki zraniły tylko podoficera, który jechał w świecie i zabiły pod nim konia. Naturalnie wojsko natychmiast zajęło pałac. Wszystkich mężczyzn bez wyjątku zaaresztowano i posłano do cytaдели, kobiety zaś i dzieci wyrzucono na ulicę. Wnętrze pałacu zostało zarobowane. Wszystkie meble wyrzucono oknem na podwórze i stos podpalono; palił się on dni kilka. Kobiety zaś i dzieci wypędzone schroniły się do krewnych i znajomych, którzy je umieścili jak mogli. Wiem, że nasz dom został przepelniony, pałace bowiem Zamoyskich były ogromne i liczyły setki mieszkańców. Później pałace te zamieniono na biura wojskowe, ale dziś jest mowa o zwroceniu ich rodzinie Zamoyskich, co przedstawiła kilka milionów wartości.

Ratusz zaś warszawski podpalony został w pewną niedzielę. Poszedłem z bratem i z gubernierem do kościoła ks. Reformatorów na Sena-

torskiej ulicy, niedaleko placu Teatralnego, gdzie się znajduje ratusz. Mieszkałszy na Bielańskiej ulicy, która też jest połączona z placem Teatralnym. Gdyśmy chcieli wracać do domu, zaszedł nam drogę oddział Czerkiesów, który się rzucił na tłum i rozpedzał go nahaikami; ja sam dostatek uderzenie nahaika, z czego się zresztą chełpiłem, uważając to jako zaszczyt cierpieć za ojczyznę. Próbowa-  
 liśmy wrócić na Bielańską ulicę z dwóch stron, ale to było niemożliwe, musteliśmy się schronić do jednego wuja hr. Aleksandra Ostrowskiego, który był wówczas dyrektorem skarbu, mianowany przez Wielopolskiego. Siostry moje też były poszły do kościoła, i nie mogły powrócić do domu i nocowały u babki. Rodzice zaś pozostali sami w domu i niepokoiłi się całą noc, co mogło się stać z nami dziećmi. Pożar ratusza nie miał wielkich skutków, spalone tylko zostały wszystkie archiwa, ale wiezień żaden nie został uwolniony.

Kilka razy była mowa o bombardowaniu cy-tadeli Warszawy, ale za każdym razem przyszedł zakaz telegraficzny z Petersburga do hr. Berga, bo bomby mogły by były uszkodzić nie tylko domy obywateli polskich, ale także i konsulaty zagra-niczne, co by było mogło dać sposobność do kom-plicacyi dyplomatycznych. W każdym razie zaczęły grzmieć armaty, wszyscy padliśmy na ko-lana i zaczęliśmy śpiewać hymn „Kto się w opiekę”. Jednak nic się nie stało. Podobno strzelanie armatami było znakiem, że kilku więźniów było uciekło z cytadeli.

Co się często zdarzało w Warszawie, to szty-letowanie osób podejrzaných, co jest podług mnie

sposób działania niegodny i zwyczajem anarchistów rosyjskich. Wiadomości z prowincyi o działaniu powstańców niedochodziły nas, tylko przypadkowo, zresztą tak były rozproszone oddziały powstańcze, że ogólnych wiadomości mieć nie było można.

Wspomnę jednak co się zdarzyło w majątności mego ojca: Oddział powstańców przybył na pola i posłał do rządcy by przystał żywności, tymczasem pułk rosyjski nadsięgnął i obozem stanął w pobliżu pałacu. Rządca brew przepisowi nie zawiadomił rządu o obecności powstańców, tymczasem ci ostatni nie otrzymując żądanych żywności, wysłali do rządcy konnych posłańców, by o te żywności po-prosił. Konnica ta spostrzeżona została przez straż moskiewską, która dała do nich ognia, kozacy wy-padli, pognonili za polską konnicą i tak zobaczyli cały obóz polski, jeden z kozaków podążył do pułku moskiewskiego i zaprowadził na pole gdzie obozowali polacy; napadnięci z nienacka polacy zostali rozproszeni. Tymczasem rządca, mieszkający na folwarku a nie w pałacu, niewiedząc o przy-byciu moskali, posłał żywność żadaną, tę zabrali Rosyanie, wzięli konie, wóz i zaaresztowali biednego fornala, którego wystali na Sybir, gdzie biedak 20 lat siedział. Oprócz tego, ponieważ rządca zapomniał zawiadomić o przybyciu Polaków obłożono majątek pieniężną karą, chciano nawet spalić pałac. Ojca wtedy nie było w domu, ale po Warszawie chodziły pogłoski, że go rozstrzelano, rozciągała się z Litwy aż do pogranicznego majątku mego ojca, że w czym majątku spotkało po-  
 wstańców, majątek zmarnowano a właściciela rozstrzelano lub więziono, ale ojciec był właśnie

w drodze do Warszawy, i przypadkiem idąc z gubernierem do kapeit wsiłanej, spotkaliśmy go jadącego do miasta. Zrozumieć można, jaka była nasza radość. Było to w roku 1864. I tegoż do roku wstąpiłszy do gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Było to sławne gimnazjum na całą Polskę, założone za polskich czasów w roku 1573, skończyło swoją polską egzystencją w roku 1873, właśnie gdy obchodziło jubileusz 300-letni. Wszędzie tam do septymy jako dziecko 10-cio letnie a wszedłem w roku jubileuszowym jako młodzieniec 19-sto letni. Przez te dziewięć lat, mile spędzonych, wiele było zdarzeń. Gimnazjum poznańskie naówczas było prawie kompletnie polskie. Grono nauczycieli, składające się z 25, liczyło tylko 3 Niemców, z których jeden dr. Enger był dyrektorem, drugi miał polskie nazwisko, nazywał się Szwerniski, trzeci był dr. Steiner, którego nazywano Baplem, bo mówił „zum Bapel“, zamiast „zum Beispiel“. Drugi był nader surowy i polakożerca, ale dobry profesor, trzeci był to denuncyant, robiący raporta wprost do ministerium na nauczycieli polskich. Był on niecierpiący. Profesorowie polacy byli wogóle bardzo gorliwi. Najdobitniejszymi z nich byli jako filolog dr. Jerzykowski, jako zaś matematycy, dr. Ustymowicz i Wiński. Nauki wykładano po polsku aż do trzecy, a od trzecy po niemiecku, z wyjątkiem języka polskiego i jeszcze innej nauki, która się zmięniała od klasy do klasy, i tak w obu tercjach historię powszechną wykładano po polsku. W sekundach Homera i Wirgiliusza tłumaczono na polski język, w prymach zaś francuski język wykładany był po polsku. Co do języka polskiego nie było specjalnych

nauczycieli, w każdej klasie dawał go inny nauczyciel. W wyższej prymie dawał go prof. dr. Rymarkiewicz, bardzo szanowany i lubiany, który byłbydat podręcznik języka polskiego pod tytułem: Wzory prozy jako też Stylistyke. Tytuły ćwiczeń, które dawał do wypracowania były często bardzo oryginalne, dajmy na to „bać się trzeba trzcinnie, gdy wiatr dąb wywinie“, albo następujące, „czem się dzieje, że gdy wieje, trzcina stoi, dąb się chwieje“, albo też „stół a stołek“. Zresztą był to bardzo poczytywy człowiek i dobry patriota, który się podał do emerytury, skoro gimnazjum zostało zmienione na czysto niemieckie. Znakomitym pedagogiem był dr. Jerzykowski, któremu chodziło głównie o wyrobienie w uczniach myśli i ogólnych poglądów. O tłumaczenie tekstu autorów greckich i łacińskich mniej chodziło. Tak więc naprzykład, gdy tłumaczyliśmy Liwiusza, znanego łacińskiego autora, i przysłaliśmy do rozdziałów o wyniesieniu się Plebejuszów na góry Awentyńskie pod dowództwem Sycyniusza, zapytał nas, czy to nazwisko nie przypomina wam innego podobnego w historii polskiej; przypominam sobie, że dwóch z nas odpowiedziało tak: Siciński, poseł Upicki. Był to Modest Maryański i ja. I tak nam lata mile przechodziły aż do roku 1870, do roku wojny francuskiej, w którym zaszły pewne zdarzenia.

Jednym urozmaiceniem były majówki, które jednak nie odbywały się in gremio i to z następującej przyczyny. Kiedy całe gimnazjum wychodziło na jaką fetę, poprzedzane było przez sztandar pruski niesiony przez pedela. Oto w roku 1863, powstania, zrobiono manifestacyą i ów sztandar wygwizdano i podobno nawet obrzucono

blętem. By nadal uniknąć podobnych manifestacji antyrządowych, postanowiono majówki odbywać z kilku klasami osobno. Ale w roku 1873 podzielono gimnazjum na dwie części, co do wyjścia na majówkę, która odbyła się tego samego dnia, klasy niższe od seksty do tercyi osobno, a drugą część składały klasy tercyja aż do prymy; urządzono tak wycieczkę, że te 2 oddziały odbyły wycieczkę do sąsiednich miejscowości, tak że po obiedzie złączyły się i tworzyły jedną całość. Naturalnie majówka ta bardzo się udała. Wyższe klasy grały komedya Fredry „Geldhaba”. Skończyła się feta polonezem, tańczonym na murawie jak w Panu Tadeuszu. Żony i córki profesorskie były tancerkami. Wieczorem późno przy odgłosie orkiestry wróciliśmy do Poznania i poszliśmy wprost na plac gimnazjalny. Pod oknami dyrektora zaśpiewaliśmy pieśń wieczorna, potem zrobiliśmy mu luczna owacy, poprosiliśmy wielkim okrzykiem o wolne na poranek szkolny, czego nam dyrektor nie odmówił. Było już po 10-tej godzinie, gdyśmy się rozeszli.

W roku 1870 wiadomości z teatru wojny bardzo nas zajmowały i z wielkim entuzjazmem witaliśmy jeńców francuskich, gdyśmy ich na ulicy spotykali, lubo to było zakazanem przez radę szkolną. W niedziele jeńców prowadzono na mszę do kościoła gimnazjalnego, naturalnie po naszej mszy. Ale myśmy dla jeńców na ławkach przygotowali rozmaite prezenta i dodawaliśmy liściki, oświadczając francuzom naszą gotowość im przysłużyć się. Niewiem kto robił raport o tym naszym czynnym współdziałale w litości nad jeńcami. Rada szkolna dostała skargę od władzy

wojskowej i my w gimnazjum dostaliśmy srogie upomnienie. Na domiar złego został nam wstęp do kościoła gimnazjalnego w niedzielę wzbroniony, ale jęcy francuzy tam nadal chodzili, my zaś w niedzielę mieliśmy uczeszczać do kościołów parafialnych. Ale chęć do manifestacji naturalnie w polskich sercach nie zamarła. Postanowiliśmy więc zgromadzać się na placu gimnazjalnym i ztamtąd in gremio iść do Fary, ale i to nam zostało zakazane. Zgromadzenie się na placu gimnazjalnym uważane było jako karygodne, i musieliśmy tego zaniechać pod groźbą zamknięcia gimnazjum, czego się bardzo obawialiśmy, gdyż to uczyniono w roku 1863 z gimnazjum trzemeszeńskim, co mówiąc nawiasowo było korzystnem dla Poznania, bo całe grono nauczycielskie i większa część uczniów przeniosła się z Trzemeszna do Poznania. Nawet liczba uczniów tak się powiększyła, że wszystkie klasy od seksty do wyższej sekundy podzielono na 2 przedziały a i b.

W roku 1871 Warta wylała. Powódz była bardzo duża i zalała gimnazjum, tak że to ostatnie zostało zamknięte i mieliśmy specjalne wakacje, które potrwały aż do wielkanocnych wakacyi, tak że razem mieliśmy 4—5 tygodni wolnego. W sąsiednim gmachu gimnazjum był alumnat, w którym mieszkało 25 do 30 młodych ludzi, zobowiązujących się wstąpić do seminaryum duchownego po skończeniu nauk gimnazjalnych. Otóż powódz zalała była bowiem kuchnią alumnatu i mieszkającą tam uczniowie byli bez żywności. A niemając pieniędzy, nie mogli nic kupić na mieście, umierali rzeczywiście z głodu i musieli szukać pomocy u kolegów. Z powodzi owej skorzystali jęcy francuzy, którzy

łodką wyfechali z miasta a potem wymknęli się na granicę polską nie bardzo odległą. Wielu oficerów francuskich przyjętych zostało do domów prywatnych. Jednemu nawet kapitanowi artylerii udało się wkrótce pojąć bogatą żonę. Był to hr. Juliac, który pojął za żonę wdowę, p. hrabine Broehl-Plater z domu Bobrińska, pochodzenia rosyjskiego, wdowę po śp. Cezarym Platerze, właścicielu dóbr Góry, Psarskie i t. d. Małżeństwo to wiele narobiło hałasu, bo pani Plater była primo voto za hr. Jezierskim i miała z niego 2 synów, którzy naturalnie byli z tego niekontentni. Dzieci po Platerze były zaś zbyt małe, by coś o tem rozumić, mieszkały zresztą u ks. Koźmiana, który był ich opiekunem. Pani Juliac po wojnie pojechała do Francji, dzieci jednak zostawiła u ks. Koźmiana w Poznaniu. Niebawem jednak p. Juliac przyjechał do Poznania, aby wydano mu dzieci; wyrobił był on sobie przedtem pozwolenie podpisane przez samego Bismarcka na wydanie dzieci z pomocą policji. To też p. Juliac zjawił się pewnego ranka do zakładu ks. Koźmiana z dwoma policjantami i zażądał wydania mu dzieci. Ks. Koźmian przeczytałszy dokument, nie stawiał żadnego oporu. Ale zaprotestowawszy, usunął się i mnie polecił chłopczyków ojczymowi wydać. Ci ostatni byli bardzo kontenci z tego wypadku, który im pozwalał wrócić do matki. Pani Juliac umarła we Francji, a synowie jej powrócili do Góry, gdzie jeden z nich Cezary mieszkał w Górze samej i niedawno skończył doczesny swój żywot (w lutym 1916). Sp. Cezary 2 lata przed śmiercią ożenił się w Warszawie z panną Witte, brataniką sławnego ministra rosyjskiego Witte, matka jej zaś była z domu Pu-

tiacka, rodząca się z domu z Duglasów, rodziny szkockiej. Pani Plater porodziła synka w kilka miesięcy po śmierci nagłej męża, Góra więc nadal pozostanie w rękach Platerów.

W roku 1873 liczba uczniów dochodziła tysiąca, a do egzaminu dojrzałości stawilo się 50 uczniów, z których 10 zostało zwolnionych od ustnego egzaminu. Wszyscy zaś złożyli egzamin prócz jednego, który złożył pół roku później i został radcą spraw wiedełności. W drugiej połowie 1873 zaczęto stosować prawa ministra Falka t. zw. małowe, mocą których religia miała być wykładana po niemiecku. Religiją nam dawali dwaj katecheci, ks. regens Bielewicz i ks. subregens Michalski. Pierwszy, dający lekcye w wyższych klasach dogmatyki i historii kościoła, poddał się rządowi i nadal wykładał po niemiecku, utrzymując, że wykładane przez niego przedmioty mogą też być uczone po niemiecku. Ks. Michalski zaś, który dawał lekcye katechizmu, nie poddał się, utrzymując, że katechizm dawać po niemiecku niemożę, przez to samo stracił posadę nauczyciela gimnazyalnego. Obywatelstwo poznańskie oburzone tem zostało, że dzieci gimnazyalne pozbyte zostały nauki katechizmu. Jedną z pań, pani Kwilecka Mileczysławowa, postanowiła zlecić zapobiedz i uorganizowała w sali bazarowej specjalne lekcye katechizmu, które dawał właśnie ks. Michalski. Chodziło o to, żeby uczniów o tem przestrziedz i nakłonić na owe lekcye. Pani Kwilecka udała się do prof. Rymarkiewicza, lecz tenże bojąc się skompromitować, nie przyjął tej misji, ale polecił p. Kwileckiej właśnie mnie, który miałem uczniów przestrziedz o tej organizacji, lubo mi to groziło wypędzeniem z gimnazyum



i zwłaszcza przed egzaminem abiturycenckim. Podjąłem się tej misji, uważając ją za zaszczytną. Chodziłem więc z klasy do klasy i kazałem uczniom niższych klas w niedzielę zebrać się na placu gimnazjalnym, skąd ich poprowadziłem do sali bazarowej. Podziękowanie pięknej p. Kwileckiej było mi cenną nagrodą i zapomniać pomogło nagane otrzymaną przez dyrektora gimnazjum i groźbę kary dyscyplinarnej.

Ważną osobą w Poznaniu był ks. Jan Koźmian, pochodził on z lubelskiego jak wszyscy Koźmianowie, których nazwisko znane w literaturze polskiej. Ks. Jan Koźmian kapłaństwo przyjął dopiero w późnym wieku. Jako obywatel ziemski był on żonaty z panną Chłapowska, córką sławnego generała polskiego. Pani Koźmian wstąpiła do seminarium, a dostawszy święcenia, nie przyjął probostwa, chcąc się poświęcić wychowaniu młodzieży. W tym celu założył 2 zakłady, jeden dla zamożniejszych synów obywateli ziemskich, drugi dla mniejszych. W tym drugim bardzo mało płacono, a wielu wcale nie płaciło. I tak wiele młodych ludzi mogło uczęszczać do gimnazjum, czegoby bez egzystencyj zakładu ks. Koźmiana czynić nie mogli, bo zakłady ks. Koźmiana nie były naukowe, tylko pensyonatami, z których uczęszczało do szkół publicznych. Wpływ ks. Koźmiana na pensyonary był bardzo wielki. Kształcił on nas w duchu patriotycznym polskim i religijnym, to też rząd szukał każdej okazji, aby mógł zakłady zamknąć, co się mu udało w roku 1872. Ks. Koźmian zajmował się rozmaitemi rzeczami, wydawał Przegląd Polski, założył „Kuryer Poznański” itd. Kiedy

nawet zasłabił na oczy miałem zaszczyt pisania artykułów powyższych pod jego dyktą, co mnie też kształciło, pisałem też jego listy prywatne, niewiedząc do kogo, bo adresy na kopertach kazał pisać innemu pensyonarzowi. Tak że ja wiedziałem treść listu, niewiedząc do kogo pisałem, kolega zaś mój wiedział, z kim ks. Koźmian korespondował, ale nie znał treści. Bardzo ks. Koźmiana szanowaliśmy, ja zaś doznawałem specyalnej dobroci i zawsze go bronilem, gdy go obgadywano. I tak w lutym 1872 roku puszczono w obieg wiadomość, że ks. Koźmian Świętopietrze przegrał w Homburgu. Złośliwa „Posener Zeitung” wydrukowała nawet co następuje: Alle Wege führen nach Rom, aber der über Homburg ist der gefährlichste. Naturalnie ks. Koźmian wcale Świętopietrza nie otrzymał i do Rzymu nie miał jechać. W Homburgu w rzeczywistości był, ale w ruletę nie grał. Co go tam zmusiło jechać opowiem dalej. Ks. Koźmian opiewał się wielu osobami. Żaden nieszcześliwy, który się do niego udał, nie był odrzucony. Między innymi zajął się też jedną panią, której nieznam nazwiska, lubo do niej pisywałem pod dyktą ks. Koźmiana, ale nie pisząc adresu. Otóż ta pani miała za przyjaciela bardzo bliskiego hr. de Merode, księcia de Ligne, z którym miała syna naturalnego. Książę de Ligne nie dał mu własnego nazwiska, ale nazwał go Westerloo. Ten p. Westerloo, ale nazwał go Westerloo. Ten p. Westerloo, mogący nawet wieczorami wychodzić na miasto; było to w czasie, kiedy Bismarck wypowiedział wojnę polakom i katolicyzmowi. Pamiętam jeszcze tę jego mowę, kończącą się tym frazeosem: Die Polen und die Pfaffen sind die Feinde des

Reiches, beide müssen ausgerottet werden! Ów p. W., który nienawidził Bismarcka, poszedłszy wieczorem do kawiarni, publicznie wyrzekł, że chciałby Bismarcka zamordować, naturalnie policya się o tem dowiedziała, a że p. W. kupił sobie rewolwer i nazałazł do Berlina wyjechał, policya za nim podążyła i w stolicy zaaresztowała, o czem gazety zaraz doniosły. Ks. Koźmian chciał o tem matce donieść, a że ta pani w owej chwili była w Homburgu, ks. Koźmian musiał tam podążyć i poszedł nawet do sali gry, gdzie go widziano i publiczności doniesiono. Rząd z tego skorzystał i oba zakłady zamknął, co było wielką klęską dla młodzieży polskiej, z których wielu dla braku funduszu nie mogło nadal kończyć nauki. Rząd zamykając zakłady orzekł, że człowiek, grający publicznie w ruletę, jest niemoralny i jako taki nie może dyrygować wychowaniem młodzieży. Arcybiskup Ledóchowski odpowiadając na artykuł „Posener Zeitung“, kazał wydrukować następujące sprostowanie, że ks. Koźmian nie miał żadnego Świętopietrza powierzonego, że więc takowego przegrać nie mógł, ale to sprostowanie nie miało żadnego skutku i rząd swego dopiął, to jest zniesienia zakładu. Lecz co zrobiło złe wrażenie na byłych pensjonatach ks. Koźmiana, to fakt, że Arcybiskup wysłał ks. Koźmiana niejako za karę do Srenu na rekolekcyje do Jezuitów. Zdało się więc, że był rzeczywście winien. Co do mnie taką miałem ufnosć w mego czcigodnego wychowawcę, że go bromilem. Pamiętam, że biorąc jego obronę, gdy go współpensyonarze atakowali, wykrzyknąłem: „Jeżeli to prawda, co o ks. Koźmianie mówicie, to już nie wierzę w Boga ani w Polskę“. I rzeczywście religijność moja dosyć wtelce ostygła.

Ważnym dla Poznania był dzień ingressu arcybiskupa Ledóchowskiego. Arcybiskup ten, mianowany wbrew woli Konsystorza, przyjechał jako osoba grata rządu, z którym jako dyplomata chciał dobre utrzymywać stosunki. Nie był więc bardzo sympatyczny ogółowi, i pierwsze jego rządy antypatye powiększyły. Arcybiskup bowiem zakazał śpiewania w kościele pieśni patryotycznych, przyciemni okazał się bardzo surowym dla duchowieństwa; wchodził w najmniejsze szczegóły, proboszczowie nie mogli nadal trzymać służących lub gospodyń, chyba krewnie, ciotki lub kuzynki. Na wizytach pasterskich nakazał obiady nader skromne, wina były kompletnie wykluczone; u niego samego obiady były bardzo skromne i dostawało się jeden kieliszek wina. Obiadom tym często byłem przytomny jako siostrzeniec arcybiskupa, ojciec mój bowiem był jego ciotecznym bratem, babka zaś moja nazywała się Ledóchowska i była siostrą arcybiskupa. Co dwa tygodnie więc regularnie chodziłem z bratem moim starszym na te obiady, na które zawsze zaproszeni byli też kanonicy i dyrektor seminarjum duchownego, którym wówczas był późniejszy arcybiskup Likowski. Rozmowa toczyła się zwykle o podróżach arcybiskupa, który przed mianowaniem na archidiecezję gnieźnieńsko-poznańską był biskupem in partibus w Ameryce Południowej. Arcybiskup był obecnym na połowaniach i opowiadał, jak był narażony na niebezpieczeństwo. Niepopularność arcybiskupa wzrastała coraz bardziej, tak że nietylko cała inteligencya poznańska, lecz i duchowieństwo było przeciwko niemu. Ta

niepopularność doszła do najwyższego stopnia, gdy arcybiskup w roku 1871 pojechał do Wersalu prosić nowo mianowanego cesarza niemieckiego, by interweniował wojskowo przeciwko Wiktorowi Emanuelowi, który był zajął dobra papieskie. Wprawdzie uczynił to arcybiskup na prośbę Ojca św., ale krytykowano bardzo, że prymas polski jedzie poniżej się przed cesarzem, który był nieprzychylny polskości i katolicyzmowi. Na domiar upokorzenia arcybiskupa tenże nie został przyjętym przez Wilhelma, i tak ks. Ledóchowski powrócił nie dopiąwszy celu. Od tego czasu coraz bardziej zaostriął się stosunek z rządem. Jak wiadomo, podczas kulturkampfu opozycyja arcybiskupa poszła tak daleko, że go uwieziono w Ostrowie nibyto dla kwestyi politycznych, ale dla długów, bo arcybiskup skazany na wielkie kary pieniężne, ich nie chciał płacić, wzięto więc jego konie i powozy, które publicznie sprzedawano, ale nie znalazł się żaden kupiec, więc rząd nie mogąc mieć tych pieniędzy, których żądał, za karę aresztował arcybiskupa. Bójąc się manifestacji rząd ukrywał dzieł, w którym arcybiskupa porwał z pałacu, by zawieść go do Ostrowa, gdzie miał być zamknięty w zwyczajnym więzieniu kryminalnym, przeznaczonym dla złoczyńców. (Gefängnis). Ale pospółstwo Chwaliszewa czuwało i gdy w nocy jednej policya się zjawiała przed pałacem z karetą i oddziałem huzarów, domyśliło się, że to chodzi o wywiezienie arcybiskupa, wtedy cała ludność powstała i chciała się oprzeć wywiezieniu, ale wojsko przemożło, i arcybiskup został wywieziony wśród krzyku pospółstwa, które już go nigdy nie miało ujrzeć, bo jak wia-

domo, arcybiskup został wprawdzie ulaskawiony i puszczoney z więzienia, ale równocześnie wygnany z granic niemieckich. Wyjechał arcybiskup do Rzymu, gdzie wkrótce mianowany został kardynałem, zwierzchnikiem propagandy i tamże umarł.

Przed wyjazdem z Poznania poszedłem się pożegnać z arcybiskupem. Wrzał już wtedy kulturkampf, ale nie mogłem się domyślić, że za rok będę widział arcybiskupa w więzieniu. Stało się to jednak. W następnym roku 1874, na wakacje uniwersyteckie jadąc z Leodyum do Warszawy, wstąpiłem do Poznania. Pierwsza wizyta należała się naturalnie memu wychowawcy, praelatorowi ks. Koźmianowi. Pojechałem więc do niego na kanonia. Skoro wszedłem, ks. Koźmian wykrzyknął: „Dobry traf cię tu sprowadza, Witoldzie, możesz oddać wielką przysługę tutejszej kapitule, poszłę po ks. kanonika Maryańskiego, który ci rzecz wyłomaczy“. Ks. Maryański przybył niezwłocznie i wyłomaczył, że kapituła ma ważne dokumenta do przesłania arcybiskupowi, ale że ich poczcie powierzyć nie chce, bo poczta listy posyłane arcybiskupowi otwiera. Więc proszono mnie, bym się podjął zawieść te dokumenta do Ostrowa i własnoręcznie oddać arcybiskupowi. Domyślano się bowiem, że mnie jako siostrzeńca, dyrektor więzienia dopuści do arcybiskupa. Nie było wówczas kolei z Poznania do Ostrowa. Musiałem pojechać koleją do Rawicza, a z tamtąd pocztą do Ostrowa. Pocztowy powóz opuszczał Rawicz dopiero o północy. Przyjechawszy do Rawicza o 6tej wieczór, miałem w tym mieście, które wówczas było puste, przestędieć 6 godzin

u jednego młynarza, który równocześnie trzymał zajazd i oberżę i musiałem słuchać jego niemieckich patryotycznych pogadank. Nareszcie nadeszła północ i wsiadłem do zadymionego niemieckimi fajkami powozu. Tak mnie dym dusił, że musiałem wysiąść i usiąść na koźle, i tak dojechałem o ótej rano do Ostrowa. Ks. kapelan M. nie mieszkał w więzieniu przy arcybiskupie, ale na mieście w jakiegoś kupca, tam go odwiedziłem i poprosiłem, by mnie zaprowadził do więzienia. O tak rannej godzinie leżał on jeszcze w łóżku, ale wstał niebawem i o 7mej rano podażyliśmy ku więzieniu. Dyrektor więzienia przyjął nas bardzo grzecznie i po przejrzeniu mych papierów legitymacyjnych, pozwolił widzieć arcybiskupa przy otwartych drzwiach.

Tak więc ta podróż i audyencya moja u arcybiskupa nie była publiczną. Podczas kiedy rozmawiałem z arcypastierzem, dyrektor więzienia przechadzał się po korytarzu z ks. kapelanem. Gdy zauważyłem przez odgłos kroków na podłodze, że jest oddalony od drzwi, wyprułem z mojej kieszki dokumenta, które ks. Koźmian był mi wszty pod podszewkę, i wrzuciłem arcybiskupowi. Ten je wnet schował pod materacem, by je później przeczytać. Potem wuj Ledóchowski z rozczuleniem opowiedział mi swe pozeğnanie w Poznaniu z ludem polskim, którego zalety dopiero wtedy on poznał, rozmawiał o kwestjach rodzinnych fako też o mych studyach w Belgii; krytykował, że uczęszczam na uniwersytet w Leodyum, nie zaś w Louvain, gdzie uniwersytet jest czysto katolicki. Tam uczęszzczają młodzi synowie arystokracji polskiej i belgijskiej, którzy z łatwością otrzymują

dyplomy, gdy się dobrze prowadzą. Na ich postępy naukowe, profesorowie po części duchowni, nie wiele zważali, wiedząc, że ci młodzi ludzie nie będą w przyszłości robić użytku z dyplomu, lecz poświecą się jedynie administracyi dóbr mitej lub więcej obszernych. Uniwersytet w Leodyum jest bardzo poważny na fakultecie technicznym, skąd wychodzą tędzy inżynierzy. Z Louvain zaś wychodzą z dyplomami des fils à papa.

Audyencya moja z arcybiskupem trwać tylko mogła godzinę, poczem mnie dyrektor więzienia grzecznie wyprosił, ale pokazał całe więzienie, nawet kuchnię i dał mi skosztować strawy więźniów; przypominam sobie, że to była grochówka, w której pływały kawałki słoniny. Wspomnę natomiast, że ks. arcybiskupowi przyrzesono obiad z miasta, ale codziennie postać, przynoszący potrawy, był rewidowany, by się przekonać, czy nie przynosi jakiej nie dozwolonej korespondencyi. Nareszcie rozstałem się z dyrektorem więzienia i z kapelanem, który mnie odprowadził do swego mieszkania. Wóz pocztowy dopiero wyjeżdżał wieczorem, więc całą noc spędziłem z ks. kapelanem M. i z jego gościem, wikaryuszem pewnej parafii, której sobie nazwiska nie przypominam.

Z Ostrowa wyjechałem wieczorem poczta, ale już nie w zadymionej karetce; ponieważ był już wszystkich miejsca zajęte, dano mi specjalny koczny, w którym doskonale spędziłem noc aż do Wrocławia, jechałem bowiem do Śląska, do Grzybnia, gdzie mieszkał mój szwagier W. Przejeżdżałem przez Oleśnice, słynną z ksiąząt Oleśnickich, pochodzących od Piaśtów i przez Psie Pole, gdzie Bolesław Krzywousty był pobit Niem-

ców. Wspominałem o tym szwagrze. Muszę kilka słów o nim obszerniej powiedzieć: Stanisław hrabia W. był młodym człowiekiem, bardzo zdolnym i wykształconym. Młodość spędził w Paryżu, ale wróciwszy do Polski, wszedł zaraz w stosunki w Warszawie z partją margrabiego Wielopolskiego, był więc przeciwny powstaniu w 1863 r. To też gdy powstanie wybuchło i zostało zgniecone, on nie chcąc zostać pod rosyjskim rządem, sprzedał pyszne majątki, które posiadał w gubernii kieleckiej i kupił ogromnie drogo majątek na Górnym Śląsku. A że mój ojciec należał do partji „białych”, przyjął on hrabiego W. za zięcia. Nie będę wchodził w szczegóły pożycia małżeńskiego mojej siostry Maryi, ale powiem, że spędzałem u niej zawsze moje małe wakacje na Śląsku, ponieważ z Poznania za daleko mi było powracać na Podlasie na wakacje na tak krótki czas, jeździłem tam jedynie na wielkie wakacje.

W roku 1873 obchodziliśmy też rocznicę 300-letnią fundacyi gimnazjum Ad sanctam Mariam Magdalenam w Poznaniu. Gimnazjum zostało założone przez biskupa Lubrańskiego pod nazwą „Collegium ad sanctam Mariam Magdalenam”. Wnet zostało znane po całej Polsce, i wielu mężów utalentowanych z niego wyszło, ale tradycja nie podaje ich nazwisk i historia wcale o tym collegium nie wspomina. Dopiero po rozbiore Polski, kiedy W. Księstwo Poznańskie przeszło pod władzę Prus, pod Fryderykiem Wilhelmem IV. zaczęto o tem gimnazjum mówić: stało się ono pruskim gimnazjum z przywilejami pruskimi, które się były dotrzymały do roku 1873. My prymanerzy abitu-

ryenci roku jubileuszowego chcieliśmy te fete solemnie obchodzić, chcieliśmy organizować koncert, złożony jedynie z polskich kawałków. Miał być też odczyt w polskim języku i w tym celu zrobiliśmy petycję do grona profesorskiego, by nam pozwolili na ten obchód, ale władza szkolna wcale nam nie odpowiedziała, lecz na marginesie naszej petycji napisała poprostu: „Keine Musik von Schülern”. Odbierane pieniądze na ten cel złożyliśmy w redakcyi „Dziennika Pozn.” na cel dobroczynny. Feta była kompletnie urzędową niemiecką. Mowę albo prelekcję jubileuszową powierzone dr. Stejnegerowi, wyżej wspomnianemu denuncyantowi, który nic o historii naszego gimnazjum nie powiedział, tylko mówił o familii Hohenzollernów i ja uwielbiał a mowę dedykował generałowi V. korpusu, Kirchbachowi. Był to rzeczywisty policzek, dany polskości, ale zemszciliśmy się zato a głównie osobiście ja w dzień, gdy nam rozdawano dyplomy doirzałości. Zresztą feta ta kompletnie się nie udała — ku naszemu smutkowi wielkiemu. Nadeszły wielkie wakacje, po których ukończeniu 2. lipca usiedliśmy do egzaminu abiturycenckiego. Po egzaminie piśmiennym zaczął się egzamin ustny, którego nie byłem obowiązany składać i dnia, gdy się on rozpoczął, wyjechałem wprost do Paryża a zamiast do Ostendy. Trudno mi opisać, jakie wrażenie zrobił na mnie Paryż. Znałem dawniej maty Poznań wprawdzie także i Warszawę, ale wszystko znika wobec Paryża. Zresztą staratem się przygotować do tej podróży i wszystko naprzód przestudjowałem, co miałem zwiedzać. Morze Północne w Ostendzie też wielkie na mnie zrobiło wrażenie. Bawiłem tam 3 tygodnie tylko bo 30. wrze-

śnia miałem się stawić do służby wojskowej. Miałem służyć w Berlinie w artylerji, w pułku, w którym brat mój był oficerem. Brat mój i ja lubo urodzeni w Królestwie, na Podlasiu, byliśmy obaj pruskimi poddanymi. Ojciec nasz bowiem przesiadził w roku 1865, gdy nam rząd rosyjski robił trudności wydawania paszportów. A jak wiadomo, byliśmy w gimnazjum w Poznaniu, dokąd więc musieliśmy jechać za paszportem. Stawilem się więc do wojska, ale nie zostałem przyjęty dla słabości piersi, brakowało mi 2½ cm w mierze. Nie byłem jednak ostatecznie uwolniony. Miałem się jeszcze później stawić, czego nie uczyniłem, dostawszy kilkakrotnie prolongatę, a ostatecznie zostałem belgijskim poddanym, nie sławiwszy się do wojska, co zresztą nie było regularne. Przed stawieniem się w Berlinie to jest 29. września było publiczne oddawanie nam świadectw dojrzałości w auli gimnazjum poznańskiego. Wszyscy abiturjenci byli we fraku i białym krawacie. Były 3 mowy tradycyjne, niemiecka, łacińska i polska. Kto miał niemiecką mowę nie przypominam sobie ani wiem, o czym mówił, łacińska Modest Maryański. Mowę polską byhym chciał mieć, ale moja podróż do Paryża i Ostendy temu przeszkodziła, miał ją Stefan Michałowski z Gallicji, chłopiec nader zdolny, ale oryginalny i dziwak, o którym kilka słów powiedzieć muszę, bo to był mój rywal, co mnie też powoduje i o sobie samym pogadać.

Muszę powiedzieć, że gimnazjalne czasy nader miłe zostawiły mi wspomnienia. Miałem wiele szczęścia na ławkach szkolnych, gdzie zajmowałem pierwsze miejsca zwłaszcza w wyższych klasach i co rok miałem promocyą z premią. Przytem

w wyższych klasach byłem tak zwanym cenzorem klas, to jest musiałem trzymać porządek klas. W niższych klasach cenzorem jest zwykle prymus klasy, ale w wyższych klasach ponieważ prymusowi może brakować energii, a ta jest bardzo potrzebna cenzorowi, na tę godność wybierano ucznia oznaczającego się energią. Tak zwany ordynariusz klasy zapytywał się uczniów kogo chcą za cenzora i takiego mianował. Czynnosc cenzora nie była bardzo łatwa, trzeba było utrzymać porządek, meldować nieobecnych a w zimie, gdy nie chodzilo się do kościoła, odczytywać głośno przed zaczęciem klas modlitwę. Od niższej sekundy do prymusa miałem te władze cenzorską, której starałem się użyć i dla dobra kolegów i ukontentowania nauczycieli. W wyższej prymie ordynariusz radził wzięść za cenzora niejakiego p. Dziuróbka z Grodziska, który był później posłem do izby pruskiej, ale koledzy moi zaprotestowali i mnie cenzorstwo zostawiono powierzone i je z wielką energią prowadziłem, tak że nawet się utworzyła partya antycenzorska, która jednak niczego nie uzyskała. Moja wola zawsze przemogła. Głównym antagonistą był już wyżej wspomniany Stefan Michałowski. Muszę przyznać, że był więcej uzdolniony niż ja, ale brakło mu wytrzymania. Na początku roku zajmował on wysokie miejsce a w kwartalu spadł. W wyższej tercji udało mu się nawet sięgnąć wyżej ode mnie, ale natychmiast spadł i w tymże samym roku uciekł on do teatru krakowskiego, skąd go wnet odwieziono. Zajmował się on więcej literaturą niż szkolnemi naukami. Pisał wiersze. Raz, jako ćwiczenie polskie mieliśmy przetłomaczyć ustęp z Enetydy Wirgiliusza, on i niejaki Czarkowski

zrobili tłumaczenie wierszami. Michałowskiego tłumaczenie było znakomite. Naprzykład wyrażenie Quos ego wy tłumaczył przez: Ja was tu! Nauczyciel Wiński, który dawał polski leżyk w sekundzie i my wszyscy uważaliśmy to tłumaczenie za bardzo trafne. Mowa polska, którą miał przyjąć rozdawania świadectw, przeczyła Wincentego Pola. Mowa była bardzo dobrze napisana, ale Michałowski, który nie odznaczał się pilnością, nie nauczył się jej na pamięć, więc mowa była źle wypowiedziana, z częstymi przerwami, co bardzo rażło. Mówca podług zwyczajów miał przemówić kilka słów poźegnanych do profesorów i uczniów, tak to źle uczynił, że ja się ośmieliłem i osobną wypowiedziałem poźegnalną mówkę. Taki byłem przywiązany do gimnazjum, do poczytych naszych profesorów i naszych wszystkich uczniów, że się rozplakałem. Muszę wspomnieć, że tak wspaniale zdaliśmy egzamin abituryncki, że 9 z nas, uwolnionych od ustnego egzaminu, otrzymało nagrody. Ja otrzymałem znane dzieło Małeckiego o Słowakim. Nadmienię więc, że nagrody które otrzymałem w rozmaitych klasach były wszystkie polskie. I tak w wyższej sekundzie otrzymałem kompletne poezje Krasieńskiego. Po fecie, schodząc do wyścicia, spotkałiśmy wszystkich profesorów, którzy osobiście się z nami żegnali. Między innymi przyszedł do mnie dr. Steiner z wyciągniętą prawicą; chcąc się na nim pomścić za jego postępowanie, głównie zaś za jego mowę wypowiedzianą w dzień jubileuszowy, nie podałem mu ręki. A gdy mi zięczył, bym w życiu tyle miał sukcesu, co byłem miał w gimnazjum, odpowiedziałem mu: „Und ich wünsch Innen bald Direktor genannt zu werden“.

On na to: „Wie so?“ Ja mu odpowiedziałem: „Ja, wenn Sie ferner Ihre Kollegen und die Schüler so spionieren, wie Sie bis jetzt gemacht haben und dem Minister in Berlin schmeicheln. Na to odwróciłem się od niego, a wszyscy koledzy w śmiech. Z gimnazjum poszliśmy wszyscy abiturycenci do fotografa, który nas w grupie odfotografował. Wieczorem znowu się zgromadziliśmy w Hotelu Francuskim u Lurzińskiego. Na kolacyi poźegnalnej były rozmaite mówki, rozrzewniające. I tak skończyło się życie szczęśliwe gimnazyalne. W nocy wyjechałem do Berlina, na stację odprawiali mnie koledzy. Nazajutrz, jak już zostawiałem, stawilem się do wojska, ale zostawiałem uwolniony, co wpłynęło na moją karierę. Tak byłem był pewny, że odbędę jednoroczną służbę w Berlinie, że już najaltem był sobie pokoi, mając zamiar uczyćszczać równocześnie do uniwersytetu. Byłbym więc został na zawsze, jeżeli nie w Berlinie, to zapewne w Księstwie Poznańskiem, gdzie może bym się był ożenił, został może posem, w każdym razie wynarodowił się. Ale los chciał inaczej! Zatelegrafowałem do ojca, który właśnie był na Śląsku z wizytą u siostry mej W. z zapytaniem, co mam czynić. Ojciec telegraficznie sprawdził mnie na Śląsk i tam zdecydował się na me szczęście, że będę słuchał kursów inżynierskich w mieście Leodyum (Liege) w Belgii. Ojciec mnie tam odwiózł i tak zdecydował się mój los. Przyjechałem do Leodyum pewien, że me świadectwo dojrzałości wystarczy na wstąpienie do wszechniewyższej uczelni, na uniwersytet. Ale się pomyliłem. Mimo, że świadectwo orzekano, że byłem bardzo silny w matematyce, kazano mi składać

egzamin bardzo trudny, który zaledwie przeszedłem, co mnie bardzo zadziwiło, bo mnie sukcesy gimnazjalne były zawróciły głowę, a zaledwie po-trafieniem złożyć wejściowy egzamin, zwłaszcza algebrę. Na wszystko w matematyce trzeba było dawać dowody, nawet na zwyczajne mnożenie cyfr decimalnych. Ale jednak przeszedłem egzamin. Te-raz zaczęły się nauki. Byłem jedyny polak, a przed-stawiający się do egzaminu, ale dowiedziałem się wkrótce o adresie innych młodych ludzi z Polski, których wnet poznałem. Przedewszystkiem muszę coś wspomnieć o Belgii, o jej historii pisać nie będę, trzeba by na to osobnego dzieła. Historia to zresztą bardzo skomplikowana i trudna, chodziło by o dzieje każdej prowincyi i każdego, że tak po-wiem, miasta osobno. Państwo to stanowczo skonstytuowane w roku 1830 po rewolucyi prze-ciwno Holandyi, było czysto demokratyczne, stan średni mieszczański największą grał rolę i dobro-byt powiększał się z roku na rok aż do nieszcześli-wej wojny r. 1914.

Szkoda tego pięknego i tak uczciwego kraju, jednego wolnego rzezywiscie, i w którym kwestya jak w Francyi moznaby było wypisać na budyn-kach publicznych te trzy wyrazy francuskie: Li-berité! Egalité! Fraternité! (Wolność, Równość, Braterskość). Wiele miast zburzonych kompletnie Louvain, Fournet z piękną katedrą, Antwerpia tylko częściowo, dworzec zaś i ogród zoologiczny kom-pletnie zmarnowane, ale katedra i gmachy publiczne jakoteż pomniki są nienaruszone. Ale z wielkością Belgii skończyło się. I to ciekawe, że zostało przepowiedziane przez wróżbitkę paryską, niejaką

panią de Thebes, która przepowiedziała, że Belgia natiaľ tej swobody, którą dotąd miała, nie będzie używać. I rzezywiscie tak się stało. Trzeba było Belgię znać gruntownie, wżyć się w jej zwyczaję, by mózż ocenić całą wartość tego na-rodu, w którym jedynie doznawało się rzezywisciej swobody. Polacy wogóle źle o Belgii sądzą, opierają się tylko na tem, co widzą u wód, w takim Spa, Ostendzie, Blankenbergu, Middelkerke i innych staeyach nadmorskich, mniemają, że Belgowie są chciwi, ale sądzą tylko po pozorze; naturalnie ho-telści, którzy mają tylko miesiające na zarobienie życia, o ile możliwości z tego korzystają i wysokie rachują ceny. Więc z tego sądzić o charakterze całej ludności, jest lekkomyślnością. Naród belgijski składa się z dwóch ras ludzi: z flamandzkiej i waloń-skiej. Pierwsza jest szczepu germańskiego, druga galijskiego pochodzenia i romańskiego szczepu. Dwie te rasy są sobie bardzo przeciwne i różnią się językiem; lud prosty flamandzki mówi po fla-mandzku, językiem podobnym do holenderskiego, o czysto germańskiem brzmieniu. Prosty lud wa-loński mówi po walońsku, który posiada niejakię brzmienie francuskie, ale jest odrębnym językiem, mającym nawet swoją literaturę ludową. Podczas kiedy język flamandzki ma literaturę bardzo wyro-bioną i licznych poetów i autorów, z których naj-sławniejszym jest Henryk Cousins, którego po-wieści są tłumaczone na wiele języków. Język rzą-dowy jest dwójaki: francuski i flamandzki. Wszystkie dokumenta urzędowe są pisane w obu językach, pod tym względem nawet jest prze-sada, bo naprzykład bilety kolejowe drukowa-ne są w dwóch językach, i tak samo



znaczką pocztowe. Co do sądownictwa, to w prowincjach flamandzkich Belg, pochodzenia flamandzkiego, musi być sądzony po flamandzku, chociaż by nawet wolął użyć języka francuskiego lub być broniomym przez adwokata po francusku. Zład powstają nierzadko w sądzie komiczne sceny. Ludność flamandzka jest prawie równie licznie jak walońska.

Belgia podzielona jest na 9 prowincyi. Bruksela stolica jest na pół flamandzką, na pół francuską, i leży w prowincyi brabantkiej, którą będzienney uważać za neutralną, resztę 8 prowincyi można podzielić na 4 walońskie i na 4 flamandzkie. Wszystkie miasta belgijskie są nader czyste i ożywione. Po Brukseli najmilszem miastem jest bez wątpienia Liège, o którym dalej szerzej powiem, bo w niem spędziłem najmiłszy czas mej młodości, której na nieszczęście cokolwiek nadużyłem. Innem bardzo dużem miastem Gandawa, o charakterze czysto flamandzkim, ale miasto nader nudne. Niedaleko Gandawy jest położone miasto Brügge, kompletnie ciche i zamarte, ale przepięknie artystycznymi pamiętkami, pięknymi obrazami, które zdobią liczne kościoły; zabudowanie tego miasta jest nader ciekawe, liczy bowiem wiele domów w stylu średniowiecznym. Kiedy dla interesu podrólowałem i byłem w Gandawie, noc zawsze przepędzałem w tem cichem Brügge, o którym znany autor francuski Rodenbach napisał powieść pod tytułem „Une ville morte” (Zmarłe miasto). Warto jest tę książkę przeczytać. Wielkiem miastem jest też Tournai, leżące niedaleko granicy francuskiej, o charakterze czysto francuskim, ale miasto to jest mało zaludnione, to

też bardzo spokojne. W obecnej wojnie wcale o nim nie mówiono, bo wprawdzie niema fortecy i wojska.

Niedaleko od Verviers leży miejscowość Spa, znane z kąpiei i wód do picia żelaznej wody. Dawniej Spa było bardzo sławne, póki tam egzystowały gry hazardowe. Ale gdy je rząd belgijski zniósł, głównie za radą partyi socjalistycznej, Spa prawie kompletnie zbankrutowało, i tam są dzisiaj same pustki. Miejscowość ta była śliczna wzgórzysta, lud ubrany po wiewsku w kostyumach narodowych ardeńskich, mówiący w niezrozumiałym języku walońskim. Źródła były w liczbie pięciu. Najślawniejsze było źródło św. Huberta. Woda z tego źródła była uważana jako działająca na bezdzictność. Utrzymywano, że stopa, której ślady widziano w podłodze skalnej, otaczającej źródło, była stopą św. Huberta. Niewiasta, która zczytyła sobie mieć dzieci, musiała wejść swoją stopą w stopę św. Huberta i wypić szklankę źródlanej wody. Ale w rzeczywistości była to tylko legenda. Bo znałem kuzynkę, która mimo, że 6 tygodni piła wodę z owego źródła, bezdzietną pozostała. Drugim miastem słynnem jest Ostenda, ale bardzo zbytkownem. Położenie Ostendy jest pyszne. Nadbrzeże morskie nader pociągające. Godziny kąpiei morskich nader są ciekawe. Mężczyźni i kobiety kąpią się razem, naturalnie w kostyumach, które nie są bardzo gustowne, a raczej kobietom nie do twarzy. Kobiety nader tracą w ubraniu kąpielowem. Zależy to zwłaszcza od tego, że im włosów nie widać, włosy te bowiem zakryte są czepkiem ceratowym. A co do form ciała, to wiadomo, że kobieta ubrana w spodnie

ubranie męskie jest niezgrabna. Ostenda zresztą jest nader kosztowna, chociaż ja, mieszkając w hotelach, ale wynajmując pokoje meblowane w starym mieście, względnie mieszkałem tam; moja żona zresztą miała talent umieć tanio żyć. Prócz Ostendy są inne stacje morskie, mniej drogie, że wspomnę tylko Blankenberg'h, Heist, Knocke, Vendujne i t. d. Rok rocznie w jednej z tych stacji bywałem u morza. Miałem zawsze pociąg do oceanu, którego wygląd jest rzeczywiście wspaniały i człowiek czuje, że jest wobec potęgi żywiołu bezsilny.

Wspomnieć też należy Verviers, leżące blisko granicy niemieckiej, o pół godziny od Akwizgranu. Verviers jest bardzo ludne i wiele ma ożywienia, ale przepelnione mieszkańcami niemieckimi, którzy w ręku posiadają większą część fabryk, po części sukna. Największa firma jest firma „Peltzer”, pochodzenia niemieckiego, ale która przyjęła już oddawna naturalizację belgijską i członkowie jej zasiadają nawet w senacie belgijskim. Nazwisko to stało się znanem bardzo przez zaboństwo pewnego adwokata Bernaysa, które popełnił niejaki Peltzer i o którym zaboństwo ówczesne gazety się rozpisywały. Może nawet będzie interesującym coś o niem dłużej napisać, bo okoliczności, które mu towarzyszyły, były ciekawe i oryginalne. Czyn ten był przygotowany i premedytowany przez brata starszego, właściwego mordercy. Właściwa przyczyna dotychczas nieznana i znana nigdy nie będzie, bo ten, co uknuł zaboństwo, zmarł ze smutku w więzieniu. Zdaje się jednak, że to kobieta była główną przyczyną, właśnie żona zamordowanego Bernaysa. Był on asekurowany

na życie na wielką sumę, a Armand Peltzer, który tę zbrodnię knował, kochał się szalenie w żonie Bernaysa i miał nadzieję ożenić się z wdową, której śmierć męża miała przynieść wielką fortunę. Wszystko było przygotowane z wielką starannością, ale właśnie ta staranność morderców zdradziła. Działo się to w styczniu w roku 1881, pa miętam tę datę, bo wracałem właśnie z Warszawy do Antwerpil z pogrzebu matki, która zmarła nader tragicznie, w znanym przypadku u św. Krzyża w Warszawie. Po opisanii morderstwa Bernaysa wspomnę naturalnie o tragicznej śmierci mej matki. Więc wracam do tej ostatniej sprawy. Na początku stycznia Bernays otrzymał z Brukseli list od niejakiego Vaughan, zapraszający go do siebie. Vaughan było fałszywe nazwisko. Bernays, choć to nie jest zwyczajem w Belgii, by adwokat jakikolwiek zajmował się sprawami po za obrębami własnego miasta, polecił do Brukseli i ztamtąd nigdy już nie powrócił. Trwało to dni kilka, nim żona o tem doniosła policyi, a że Bernays nie był po wiedział żonie, dokąd jedzie, więc odnależć go było trudno, aż po jakich dziesięciu dniach doszedł do policyi list podpisany Vaughan, w którym ten po dawał, gdzie się trup Bernaysa znajduje i dodawał w tym liście, że on pokazując Bernaysowi amerykańskie rewolwery, przypadkowo go zabił, a przeleknięty uciekł z mieszkania. Nowego swego adresu ów pseudo Vaughan nie podawał, a znaczek pocztowy nie miał żadnego stempla. Policya każda we wszystkich gazetach wydrukować fascimile owego listu Vaughana i w tym piśmie pewien mieszkaniec miasta Verviers poznał pismo Leona Peltzera, u którego długie lata był zajęty w tem

mieście, poczem wyjechał do Ameryki. Natychmiast wysłano list gończy za Leonem Peltzerem i wyznaczono nagrodę 2000 franków temu, któryby Peltzera zatrzymał lub do zatrzymania pomógł, przytem w gazetach odbito fotografię mniemanego zabójcy. Tenże był trudnym do wyszukania, bo nie zostawał w żadnym mieście, ale ciągle podróżował między granicami niemiecką, holenderską i belgijską. Ale pewien kelner bufetowy z Kolonii widział go i denuncyował, widział go w pociągu, jadącym z Kolonii do Brukseli. Natychmiast zatręgrafowano do Brukseli; gdzie, po wielu różnych zabiegach, mimo pomocy Armanda Peltzera aresztowano Leona, i uwięziono. Nasamprzód Leon Peltzer nie przyznał się do morderstwa, ale utrzymywał, jak w swem piśmie oddrukowanem w facsimile, że Bernays przypadkowo został zabity, czego jednak wytlumaczyć nie mógł, gdyż kula ofiarę trafiła z tyłu, co było niemożliwem przy oglądaniu broni. Zresztą wszystkie poszukiwania policyjne zdawały się dowodzić, że to starszy brat Armand strzelił do niego z tyłu, podczas gdy Leon poszedł do drzwi przyjąć dzwoniącego Bernaysa. Mieszkania w którym czyn został dopełnionym, było specjalnie na to najęte. Dom był całkiem pusty, na odległej ulicy, blisko jednego dworca, wybrany na to, żeby Bernays miał krótką drogę do pójścia piechotą z dworca do mieszkania i był mało spotykany i widzianym. List był napisany przez Leona niby toVaughana w tym celu, by zapobiedz kompletnemu popuszcii się ciała Bernaysa, bo gdyby go nie można było poznać, towarzystwo ubezpieczeń nie byłoby płaciło wdowie premii asekuracyjnej. A owe fascimile było całą przyczyną, że mordercy

zostali odkryci i musieli być sądeni przez sąd przysięgłych, który obu braci skazał na śmierć, ale ponieważ w Belgii kara śmierci nigdy nie bywa wykonana, zamieniona została na dożywotnie ciężkie roboty publiczne. Armand umarł wnet na suchoty, ale Leon żyje dotychczas i lubo nie może być ufa-skawiony, dyrektor więzienia w Louvain wziął go sobie za sekretarza i pozwała mu odbywać przedchadzki na mieście. Ale z nakazem powrócenia wieczorem do więzienia. Sprawa ta narobiła wiele hałasu w Belgii i dała okazywać kilku autorom utworzenia z tego powieści kryminalnej. Panią Bernays pospólstwo posadzało o współnictwo w zbrodni, ale były to tylko pozory a nic pewnego. Kobieta ta miała ogromną inteligencyą i talent niezwykły podobania się mężczyznom, ale wcale nie była ładna, ruda i twarz jej była pokryta piegami. By te piegi ukryć, używała ogromnie pudru, który było czuć na kilka metrów od niej. Z widzenia była wszystkim znana. Mnie raz przypadkowo prawie życie uratowała, gdy byłem w niebezpieczeństwie padnięcia pod koła tramwaju elektrycznego.

Przystępuję do opisu tragicznej śmierci mej ukochanej, nieodżałowanej matki. Było to w pierw-sze święto Bożego Narodzenia 1880 r. Siedziałem w Antwerpii przy wesołym obiedzie w gronie rodziny i gości, gdy nagle otrzymałem depeszę brzmiącą: Mère mortellement malade. Wreż Var-sovie (Matka śmiertelnie chora, przyjeżdżaj do Warszawy). Naturalnie mnie to bardzo zasmucilo i zadziwiło, ale nie mając paszportu ani dostatecznych pieniędzy na podróż, musiałem czekać do następnego dnia. I pojechałem nazajutrz na Berlin do Warszawy. W Berlinie musiałem czekać do wieczoro-

ra, a wiedząc, że w Caffée Bauer trzymają wszystkie gazety, poszedłem przeczytać dzienniki polskie. W nich wyczytałem, że matka moja nie chora, ale tragicznie skończyła życie. Gazety szczegóły tej śmierci podawały. Matka pojechała była do kościoła św. Krzyża na misję św. Do kościoła wchodził się schodami, bo jest też kościół podziemny, gdzie wystawiają umarłych. W czasie mszy św. ktoś zawołał: „goré“, lubo nic się nie paliło. Obecni w kościele mieli jeszcze w pamięci niedawny pożar opery komicznej w Wiedniu. Matka moja zapewne się zlekła i podążyła z siostrą moją ku wyjściu. Cały tłum rzucił się za nią. Moja matka poślizgnęła się na ślizgich schodach i upadła i cały tłum przebiegł po niej, rozmiżdżając jej głowę, siostra zaś moja, która matce towarzyszyła, szczęśliwym wypadkiem wypadła na ulicę przez poręcz schodów, potłukła się bardzo, ale się nie zabiła. Służący, czekający przy karcie na ulicy pobiegł na pomoc matce, ale szedł przeciwko prądowi społeczeństwa uciekających. Popłoch był taki, że jeden z uciekających uderzył kasetem służącego w gardło, które mu przetrzał i naturalnie zabił. Wogóle 36 osób było zabitych i wiele więcej rannych. Pogłoska się rozeszła, że to żyd jakiś krzyknął: ogień, wtedy całe popólstwo rzuciło się na żydów i powstał okrutny pogrom żydowski, który tolerowany przez policję trwał 3 dni. Dopiero po 3 dniach rząd zlekniyty i obawiając się rewolucji narodowej wmixszał się do sprawy. Stan wojenny został ogłoszony, i wojsko wkroczyło do miasta, robiąc po ulicach ciągle patrole. Miasto się naturalnie uspokoiło, ale 10 dni ten stan wojenny wyjątkowy trwał. Wojsko zajęło nawet stację kolei żelaznej i trudno mi

było dostać pozwolenie, by wyjść na miasto z dworca. Ludność warszawska zamyslała matce mojej i innym ofiarom sprawić świetny pogrzeb, ale gubernator obawiając się patryotycznych manifestacji, zawezwał do siebie ojca mego i poprosił, by zwołali nocą cichaczem przeniesiono na cmentarz powąkowski do cmentarnej kaplicy i tam nazajutrz pochowano. Cafe rodzeństwo kilka dni jeszcze zabawilo w Warszawie, poczem wszyscy z ojcem pojechalismy na wieś do Konstantynowa, gdzie mnie ojciec namawiał, bym pozostał z nim na wsi, czegom na nieszczęście nie uczyniłem, bo mnie pociągała do Belgii moja przyszła żona, o czem ojciec, jak o moim do niej stosunku, nie wiedział. Stosunek ten dopiero w roku 1887 uregulowałem stosownie do praw miejscowych. Gdybym był został w Konstantynowie byłbym kompletnie cnotliwiej i uczciwiej postąpił, ale mnie ciągnęła ta nieszczęśliwa pasja do mej towarzyski, poprawiona wprawdzie przez przywiązanie, jakie miałem do jej córek, mych późniejszych pasierbic, którym dałem wzorowe wychowanie, podziwiane nawet przez mego brata czysto arystokratycznych poglądów, podczas kiedy ja mam idee nader demokratyczne. Nawet w Belgii wziętałem mą naturalizacyą bez tytułu hrabiowskiego a nawet szlacheckiego, którego w Belgii się nie używa.